

Z TRADYCJI MNISZEJ

80

MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB

**SZKOŁA  
OJCÓW**



MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB

# SZKOŁA OJCÓW



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

*Opracowanie graficzne:*

JAN NIEĆ

*Imprimi potest:*

Opactwo Benedyktynów

Wydanie I – Kraków 2026

ISSN 0867-7050

ISBN 978-83-8205-386-9

© Copyright by Małgorzata Borkowska OSB

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. + 48 534 037 299; + 48 (12) 688 52 95

e-mail: [zamowienia@tyniec.com.pl](mailto:zamowienia@tyniec.com.pl)

[www.tyniec.com.pl](http://www.tyniec.com.pl)

*Druk i oprawa:* Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

# SPIS TREŚCI

OD AUTORA .....	7
MISTRZOWIE MILCZENIA.....	9
MISTRZOWIE TRUDU .....	23
MISTRZOWIE WYBORU JEZUSA.....	37
MISTRZOWIE MODLITWY: PRZYKŁAD .....	49
MISTRZOWIE MODLITWY: NAUKA.....	61
MISTRZOWIE BRATERSTWA .....	75

## *LECTIO DIVINA*

1. ROZMYŚLANIE <i>LECTIO DIVINA</i> „JEZUS IDZIE DO JEROZOLIMY” (ŁK 13,31–35).....	91
2. ROZMYŚLANIE <i>LECTIO DIVINA</i> „DWUNASTOLETNI JEZUS” (ŁK 2,41–52).....	101
3. ROZMYŚLANIE <i>LECTIO DIVINA</i> „UCZNIOWIE DO EMAUS” (ŁK 24,13–35).....	111
INDEKS.....	123



## OD AUTORA

Ta książeczka to zapis rekolekcji, prowadzonych w Żarnowcu dla kapłanów w listopadzie 2025 roku. Obejmuje częściowo teksty (lub ich fragmenty) wcześniejsze<sup>1</sup>, częściowo nowe, w układzie podporządkowanym centralnej myśli, mianowicie szukaniu drogi do Boga w naukach Ojców Pustyni. Oprócz sześciu konferencji podano także trzy schematy *lectio divina*, prowadzonej dla uczestników przez naszego księdza kapelana, któremu za tę współpracę serdecznie dziękuję.

---

<sup>1</sup> *Abba, powiedz mi słowo*, Kraków 2019; *Sześć prawd wiary oraz ich skutki*, Kraków 2018; *Nad Regułą św. Benedykta. Uwagi mniszki*, Kraków 2021; *Uwagi o modlitwie*, Kraków 2023.



## MISTRZOWIE MILCZENIA

Od kilkunastu wieków szukamy u Ojców Pustyni pouczenia w tych sprawach, które dotyczą naszej relacji z Bogiem. Na początku, dopóki oni rzeczywiście mieszkali na pustkowiach poza terenami zamieszkałymi, to szukanie wymagało wędrówki całkiem dosłownej, wyprawy w głąb pustyni. I pierwszą rzeczą, która tam uderzała wędrowców, była cisza. Cisza w krajobrazie i cisza w samej pustelni. Czasem nawet bywało trudno skłonić pustelnika, żeby tę ciszę przerwał ze względu na gości. Abba Arseniusz nie chciał mówić nawet z arcybiskupem Aleksandrii, bo był zdania, że „jeśli się on nie zbuduje moim milczeniem, to słowami też się nie zbuduje”.

Dlaczego cisza jest taka ważna? Dlaczego abba Pojmen powiedział: *Jakakolwiek trudność na ciebie przyjdzie, zwycięstwem nad nią jest milczenie?* Jak to? Milczenie, a nie prośba o pomoc, nie szukanie rady u kogoś doświadczonego? A na przykład w sprawach modlitwy? Tak; nawet i w tej dziedzinie trzeba szukać rady oszczędnie. Na pewno nie prosić o nią (i to warto przypomnieć niejednej

zakonnicy) każdego kolejnego księdza, który się przypadkiem zjawi. Rada dotycząca modlitwy jest jak ziarno, które wykiełkuje tylko na odpowiedniej glebie: w ciszy, nie w rozgadaniu. Przecież tu chodzi nie o jakąś tylko naszą własną sprawę, ale o sprawę Boga i naszą – o relację – a w takim razie więcej nam pomoże uciszenie się przed Nim niż wygadanie się przed ludźmi i zdobycie jeszcze jednego ucha dla naszych skarg.

Potrzebna jest więc cisza zewnętrzna, dosłowna, w decybelach mierzona; ale i cisza wewnętrzna, polegająca na uspokojeniu umysłu na tyle, żeby człowiek przestał się kręcić wokół własnych bieżących doznań. Wtedy nie tylko nasza mowa będzie płynąć z opanowania, z równowagi, z milczenia właśnie – ale także nauczymy się słuchać. Słuchać tego, co rzeczywiście mówią do nas ludzie, bez przepuszczania tego przez własne filtry; i słuchać tego, co chce nam powiedzieć Bóg. W tym ostatnim przypadku nie ma oczywiście mowy o „słuchaniu” fizycznego dźwięku, ale o lepszym otwarciu się na myśli płynące z natchnienia Bożego. Bóg, oczywiście, w kluczowych momentach potrafi się do nas przebić nawet przez największy nasz hałas, wewnętrzny i zewnętrzny – ale kluczowych momentów nie może być w życiu dużo; a nam zależy na możliwości otwiera-

nia się na Bożą „mowę” na co dzień. I słuszne jest, żebyśmy zrobili to, co z naszej strony zmierza do takiego otwarcia. Bo „słuchać” znaczy: najpierw zamilknąć. A to jest złożona operacja.

Przywykliśmy chwalić człowieka, który „na każdy temat ma coś do powiedzenia”. Jest to oczywiście złudzenie: chodzi nam po prostu o ludzi, którzy potrafią mówić ciekawie na tematy nas interesujące, bo *całej* wiedzy ludzkiej we wszystkich przedmiotach niczyj pojedynczy umysł by nie ogarnął. Ale tak czy inaczej, jeśli to określenie postawimy sobie za ideał, lądujemy na najlepszej możliwej drodze do przemądrzałego rozgadania. Pamiętam, jakim odkryciem i wyzwoleniem była dla mnie kiedyś myśl, że nie mam obowiązku mieć na każdy temat wyrobionego zdania; a Ojcowie uczyli, że ten najmądrzejszy, kto potrafi powiedzieć „Nie wiem”.

Trzeba wybierać. W końcu, już biblijny Mędrzec zauważył, że mądry mówi krótko (por. Syr 2,4–5); a św. Benedykt cytuje Mędrca i stawia za go wzór dla mnicha. Najważniejszy problem: o co nam właściwie chodzi? Jaki mamy cel życiowy? Dzisiaj jest modna formułka: zrealizować siebie. Ale nam nie chodzi o to, żeby zrealizować siebie, tylko żeby zrealizować swoje powołanie; a *powołanie* zakłada istnienie dwóch osób, wołają-

cej i wołanej, i dlatego nie można się koncentrować tylko na jednej z nich, i z niej robić cel życia i działania: z jej samozadowolenia, mówiąc prosto. Założywszy nawet, że te osoby są sobie równe, trzeba by pilnować, żeby jednej i drugiej przypadła równa szansa wypowiedzenia się: jak w takim razie przedstawia się nasza rozmowa z Bogiem? A jak, jeśli nadto pamiętać, że nie są sobie równe, i że to my jesteśmy ta mniejsza osoba?

Cel naszej modlitwy jest odbiciem naszego celu życiowego. Czy żyjemy po to, żeby siebie zrealizować, a Pan Bóg może nam być najwyżej do tego przydatny – czy też żyjemy po to, żeby siebie oddać Bogu? W pierwszym wypadku do nas należy inicjatywa, mamy prawo gadać pierwsi, gadać jedyni, gadać przez cały czas, a inni (wśród nich Bóg) niech nas słuchają, ewentualnie odpowiadają, ale tylko wtedy, kiedy my tego chcemy: na przykład, kiedy żądamy, żeby się z czegoś przed nami wytłumaczyli. W drugim wypadku, to jest jeśli naszym powołaniem jest oddanie Bogu siebie, to Jemu trzeba pozostawić możliwość mówienia, a my musimy zamilknąć. Inaczej zagłuszemy Boga.

Kto jeszcze pamięta peerelowskie stacje zagłuszające? Ktoś nastawiał radio na BBC albo na Wolną Europę, a z odbiornika oprócz ledwo sły-

szalnego głosu speakera leciały straszliwe trzaski, nadawane po to, żeby przypadkiem obywatele PRL nie dowiedzieli się, co się mówi po tamtej stronie Żelaznej Kurtyny. Otóż wszyscy nosimy w sobie takie stacje zagłuszające, i tylko wszechmoc Boża potrafi sprawić, że coś jednak mimo to czasem dosłyszemy. Czy nigdy nie widzieliśmy grup rekolekcyjnych, świeckich i nie tylko, które wylewają się z sali konferencyjnej z takim hałasem, jak dzieci z klasy, i w całym gmachu słyszeć, że właśnie mają przerwę? Przez pół godziny, może nawet godzinę, musieli słuchać w milczeniu, więc teraz potrzebują się nagadać do poziomu... Choćby nawet i pochwalić to, co usłyszeli: czy to grzech? Grzech nie... ale co jest marzeniem porządnego kaznodziei? Nie sława mówcy, teologa, kościelnego gwiazdora; nie to, żeby mu po kazaniu mówiono: Jak ksiądz to ślicznie powiedział! To wszystko jest tylko wrzawa: *Słowa, słowa, słowa, słowa, słowa*. Ale to, żeby po jego konferencji ludzie z własnej chęci szli przed tabernakulum, w ciszę przed Bogiem, i to *Bogu* mówili: Jaki jesteś cudowny i wielki. Tego pragnął św. Franciszek Salezy; to robili słuchacze wykładów bł. Kolumby Marmiona.

Nasza prywatna stacja zagłuszająca składa się z tego, co mówimy, i z tego, o czym myślimy.

Dobrze byłoby sobie, wedle modnej dziś metody „krok po kroku”, spisać własną listę tego, co należy zrobić, żeby zamknąć swoją wewnętrzną stację zagłuszającą. I wtedy okaże się, że najpierw należy spróbować wyłączyć nasze lęki. Wymieńmy kilka.

Ten najbardziej zewnętrzny to lęk **przed bliźnimi**. Na przykład: jeśli coś puszczę mimo uszu, nie odpowiem, nie zareaguję – nie sprostuję błędu, nie wyjaśnię pomyłki – to ta druga osoba będzie na pewno myśleć, że nie mam argumentu, albo że jej przyznaję rację, albo że mnie przekonała itd. Ta potrzeba natychmiastowego prostowania błędu (znaczy: tego, co za błąd uważamy) bywa w człowieku silniejsza od wszelkich względów miłosierdzia czy rozsądku. Pamiętam takiego księdza, który chwalił się (nie przed zakonnicami oczywiście), że w każdym klasztorze potrafi, bez zadawania żadnych pytań, od razu dowiedzieć się o wszystkich wewnętrznych konfliktach wspólnoty. Zamiast pytań używał po prostu twierdzeń. Mówił na przykład do siostry podającej mu śniadanie: „O ile wiem, to u was z obsadzeniem takiego a takiego urzędu nie będzie kłopotu; macie przecież siostrę X, znakomicie do tego przygotowaną” – i natychmiast dostawał odpowiedź w rodzaju: „O, to tylko tak z zewnątrz wygląda, my ją znamy za dobrze...” i natychmiast leciała

cała historia ostatnich dwudziestu lat; w wersji tej siostry, oczywiście, ale zawsze to już coś na początek; później można będzie zdobyć i inne wersje w taki sam sposób... Ani do głowy nie przyszło takiej siostrze, że popełnia niedyskrecję, obmowę czy coś takiego: ona po prostu musiała wyprowadzić gościa z błędu. Kusiciel miał ją jak na półmisku podaną. Więc żeby zamilknąć, trzeba **wyłączyć w sobie nauczyciela**, który ma obowiązek wszystkich o wszystkim pouczać. Ojcowie pustyni mówili, że mnich nie powinien podejmować dyskusji; ale jeśli brat mądrze mówi, powinien odpowiedzieć: *Słusznie*; a jeśli głupio, powinien odpowiedzieć: *Sam wiesz, co mówisz*. – No to wezmą mnie za głupiego, który nic nie ma do powiedzenia! – Niech wezmą; a ty trwaj w pokoju przed Bogiem; to jest więcej warte niż zwycięstwo w dyskusji.

Ale my mamy tyle do powiedzenia! Tyle nowego! – Ale nowe zawsze było. Na długo przed wszelką globalizacją i informatyką podrwiwał sobie biblijny mędrzec z takich, którzy kiedy tylko się czegoś dowiedzieli, natychmiast muszą to przekazać. *Usłyszałeś słowo? Niechaj umrze z tobą! Nie obawiaj się: nie rozsądzi ciebie. Głupi z powodu słowa usłyszanego czuć będzie bóleści jak rodząca z powodu dziecięcia...* (Syr 19,10–11). Musi, prawda, na

świat je wydać. A dlaczego? Bo głupi. Mądrego (co św. Benedykt cytuje z upodobaniem) poznać po tym, że gada krótko. A są i tematy, które mądrze jest w ogóle omijać. Żyła w X wieku w Bagdadzie niewolnica imieniem Rabija, muzułmanka oczywiście; prowadziła życie głębokiej modlitwy i miała krąg uczniów, którzy chcieli się tego od niej nauczyć. Otóż kiedyś spytali ją, jak zdobyć cnotę cierpliwości; i spodziewali się jakiejś bardzo wzniosłej nauki, a ona odpowiedziała coś w rodzaju: „Tym razem się nie poskarż”. Każda kolejna okazja jest właśnie *tym razem*, i jeśli ją wykorzystamy, by zamilczeć, jesteśmy na drodze do cierpliwości; a jeśli nie wykorzystamy i musimy sobie pobiadolić, to o cierpliwości możemy najwyżej rozprawiać teoretycznie, a sami jesteśmy na najlepszej drodze do stworzenia wokół siebie atmosfery sali szpitalnej, na której wszyscy pacjenci opowiadają w kółko o swoich objawach. Koszmar.

Nasza stacja zagłuszająca działa jednak głębiej niż mowa; mowa może być tylko jej przejawem. I nie wystarczy zamknąć usta, żeby zamknąć tę stację; to tylko pierwszy krok i pierwszy lęk uśmierzony. A jest jeszcze lęków niemało. Boimy się przecież także **siebie samych**. Gadaniem i wszelkim innym hałasem, dźwiękowym i myślowym, zagłuszamy świadomość swoich win czy

niedoskonałości. Żeby zamilknąć, trzeba więc spróbować jakoś wyłączyć w sobie **sędziego**, który bezustannie feruje wyroki, a w dodatku, pragnąc, żeby jak najpóźniej doszła kolejka jego własnej sprawy, najpierw zajmuje się procesami wszystkich bliźnich. To zajęcie jest jeszcze bardziej absorbujące niż zajęcie nauczyciela, bo pouczanego (albo zanudzanego) bliźniego musimy mieć przed sobą, więc tylko wtedy możemy pouczać, kiedy ma kto słuchać; a wyroki ferujemy równie dobrze zaocznie. Nawet przy najprostszych domowych czynnościach można myśleć o cudzych wadach i układać mowy prokuratorskie i sędziowskie... Wielkie to utrapienie i pogoń za wiatrem, żeby użyć słów Koheleta. A jeśli przypadkiem naszym podsądnym jesteśmy my sami, co się ostatecznie także zdarza, to hałas jest nam szczególnie potrzebny, właśnie po to, żeby prokuratora i sędziego zagłuszyć. Ale Ojcowie pustyni nauczali: Nie myśl o przeszłości, bo ona się już nie zmieni, po prostu wrzuć ją w otchłań Bożej litości; i nie myśl bez koniecznej potrzeby o przyszłości, bo ona jest w ręku Boga; trwaj w terażniejszości, w pokoju, przed Bogiem.

Przy okazji dobrze by było wyłączyć także i naszego **adwokata**. To ten, który nam każe wciąż powtarzać sobie argumenty, wykazujące, że mieli-

śmy rację, że postąpiliśmy słusznie, że każdy na naszym miejscu... że trzeba złej woli, żeby nie uznać... I tak dalej. Uczy nas tych argumentów na pamięć, i co chwila sprawdza, czy aby którego nie zapomnieliśmy. Ojcowie pustyni bardzo dużo mówią o tym adwokacie; wypreparowali go spośród swoich myśli już na samym początku życia monastycznego i dali mu greckie imię *dikaioma* – usprawiedliwianie. Oczywiście, siebie. I to też jest wielkie utrapienie i pogoń za wiatrem, bo nikt na całym świecie nie jest tak gadatliwy jak on, a póki gada, póki mu pozwalamy gadać, nikogo innego słuchać się nie da. Paradoks polega na tym, że najmujemy sobie tego adwokata, myśląc, że on nas wyzwala, a jest wręcz przeciwnie: on nam odbiera całą wolność, całą swobodę, cały pokój, całą modlitwę. Wielkie to utrapienie i pogoń za wiatrem. I jest tylko jeden sposób, żeby tamto wszystko odzyskać, a jego wyłączyć przynajmniej na chwilę: wziąć na siebie swoją część winy.

Bo zauważmy: ten nasz adwokat odzywa się tylko wtedy, kiedy rzeczywiście jesteśmy przynajmniej częściowo winni. Jeśli jesteśmy niewinni zupełnie, tak jak ofiara napadnięta na ulicy przez bandziora, to on nie ma nic do powiedzenia; najchętniej wtedy ustępuje miejsce na mównicę prokuratorowi oskarżającemu Boga. Sprawa

wtedy jest jasna, nasza niewinność nie wymaga dowodzenia, zbierania świadków itd. Więc jeżeli jednak jakieś dowodzenie w nas się odbywa, jakieś zbieranie argumentów i powtarzanie ich w kółko, uczenie się ich na pamięć – to już samo przez się dowodzi, że jakaś przynajmniej część naszej winy była. I nasz adwokat wewnętrzny nie wyłączy się, póki się do tej własnej części winy nie przyznamy, a tej cudzej części nie przebaczymy. Pan Jezus mówi wyraźnie: *Gdy stajecie do modlitwy, najpierw przebaczcie, co macie przeciw komuś* (Mk 11,25). *Najpierw przebaczcie!* Bo inaczej zamiast kontaktu z Bogiem odbędzie się po prostu kolejna sesja naszego wewnętrznego trybunału. A wszyscy funkcjonariusze tego trybunału mają tak strasznie dużo do powiedzenia, że już nikogo innego nie słyszać, ani słuchać się nie da. Nawet Boga.

Po tym wszystkim, co tu już powiedziano, czy nie przyznamy racji abba Agatonowi, który mówił, że modlitwa jest największym trudem pod słońcem? Bo kiedy wyłączyliśmy już to wszystko, czego się boimy, i co swoim gadaniem zagłusza w nas modlitwę, pozostaje jeszcze nasz strach największy. Powiedzmy sobie otwarcie: najbardziej boimy się Boga. (Było takie powiedzonko: „Bój się Boga, Mazurkiewicz!” – i ono właściwie znaczyło „zastanów się, co robisz!”). Ale boimy się

Go nie w tych wszystkich biblijnych i teologicznych sensach, które mistrzowie duchowni tak ładnie tłumaczą i rozróżniają, tylko boimy się, żeby przypadkiem nie wszedł z nasze życie i czegoś nie zażądał. Czegoś innego, niż myśmy postanowili Mu dać. Albo czegoś jeszcze więcej. I prawda jest! Mówi się, że Boga ucieszyć łatwo, ale zadowolić trudno; a także, że jeśli mu dać palec, zażąda całej ręki. A naprawdę to On żąda nas, nas całych, i wszystkiego razem z nami, i nie odstanie, póki nie dostanie. No więc uciekamy i staramy się z bezpiecznego miejsca (łudząc się, że jest takie) coś jednak dla siebie utargować. Wielkie to utrapienie i pogoń za wiatrem; a jedyna pociecha jest w tym, że Ten, który nas goni, jest i tak od nas szybszy, i w dodatku goni nas nie po to, żeby nas pożreć, ale żeby nas Sobą nasycić.

Boimy się więc, żeby Bóg nie przemówił, bo mógłby powiedzieć nie to, co chcemy usłyszeć. Ale boimy się także, żeby nie milczał. Jakże trudno jest pogodzić się z milczeniem Boga, znieść je, przyjąć. Całymi latami nie daje nam żadnego znaku swojej obecności, żadnego rozwiązania naszych trwających problemów. Chociaż może to nie On milczy, tylko my nie dorośliśmy jeszcze do tego, żeby dosłyszeć, żeby zrozumieć? A On czeka cierpliwie, hoduje nas jak cenny kwiat, aż

powoli wreszcie nasze serce rozkwitnie i będziemy zdolni słyszeć. Dlatego milczenia Bożego trzeba słuchać tak samo, jak i mowy. Z tą samą pokorą, uwielbieniem, wdzięcznością. Pokochać je i odpowiadać na nie także ciszą. Nie zagłuszać go własnym gadaniem: ani gadaniem do ludzi, ani gadaniem do siebie.

Więc jasne, że „słuchaj” znaczy: najpierw zamilknij.